

Józef Grucza /"Tygrys"/

Będziecie pasierz za nas mówić...

Urodziłem się 27 lipca 1912 roku w Borze Zapilskim, gmina Węglowice koło Częstochowy. Nie mam dokończonego wykształcenia podstawowego, ale wiem co to jest Polska.

W AK byłem od 1943 roku. Przed wojną pracowałem na kolei, więc Niemcy wzięli mnie na budowę linii kolejowej w Minku, a potem przerzucili do ~~Rejowca~~ <sup>Rejowca k. Chelma</sup> w Rejowcu odkrywłem skrydło z bronią i amunicją oraz dwie skrzynie z granatami - wszystko to zabrano AK-owcom. W Dąblinie udało mi się wymierzyć gdzie są zbiorniki benzyny. Wtedy dwóch Polaków napisało na mnie donos po niemiecku, że robię sabotaż na kolei i trzymam z bandą leśną. Donos przechwycił mój magister - Ślązak. Obejrzał list ze wszystkich stron. I zapytał: "A nie idzie go otworzyć?". I odkleił nad parą, przeczytał, a potem wyrzucił.

W Dąblinie pracowałem na lotnisku. Tam przyganiłi do roboty Żydów z obozu. Byli ledwie żywi. Przeciągałem dla nich pod drutami chleb, nawet buki dla dzieci. Znow wykapowali mnie Polacy, jeden to był piekarz, u którego się zaopatrywałem. Na szczęście niemiecki kolejarz ostrzegł mnie, że jestem obserwowany.

X

A za komunistów... Panie, ja tak zapierałem się wszystkich moich rzeczy, że dziś jeszcze boję się mówić o tym. Ale mam już 73 lat, wszystko mi jedno.

To było na początku <sup>kwietnia</sup> 46 roku. Mieszkałem wtedy w Węglowicach Częstochowskich koło Herbów. Do mojej wsi przyszedł oddział KWP - 124 ochłopa. Słynni byli z tego, że rozbili i rozpaścili więzienie w Radomsku, a potem urządzili defiladę. Przedem szły dzieci z chorągiewkami, a za nimi parazytanci. Teraz byli zmordowani, bo trzy dni toczyli walkę koło Janowa z ubekami, z KBW i z Ruskimi w polskich mundurach.

Musieliśmy nakarmić ich, dać co miakem z bielizny.

z Rejowca  
premierem  
zostałem  
do Dąblina

buty. Zakwaterowałem ich u gospodarza Kmiecica w sąsiednich Nowinach. Razem z gospodynią upiekliśmy dla nich chleb. Tym byli całą noc i cały dzień. Pod wieczór Janina Denner przyjechała ostrzec nas, że szykuje się obława. Wyszliśmy do lasu. Ja prowadziłem, bo oni przyszli z lasów rademskich a naszych nie znali. Przesiedzieliśmy w lesie całą noc. Kiedy minęło niebezpieczeństwo, wróciliśmy się ogolić, umyć. I znów do lasu. Tam założyliśmy obóz. Do dziś na drzewach wiszą tam na drzewach krzyżyki, któreśmy zawiesili wtedy. Był też olbrzymi <sup>buk</sup> ~~drzewo~~, miał trzysta lat. Chłopczy wyryli na nim swoje pseudonimy i jaką broń posiadali. Ta wredna czerwona bestia kazala wykopać <sup>buk</sup> ~~drzewo~~, żeby oni tam nie byli.

Służyłem im wiernie. Od tej pory jeden tylko miałem cel: czuwać nad nimi, być z nimi. Z nimi upaść, albo... Byłem łącznikiem między moim dowódcą kapitanem Henrykiem Glabińskim /"Klinga"/ i kapitanem "Kwecem". "Klinga" mówił, że kiedy ja czuwać w terenie, on w lesie z oddziałem śpi spokojnie.

Myśmy się komuny nie bali. Gdyby nie Ruskie, to byśmy ich wykurzyli z Polski za parę dni. Ale to nie Stalin robił w Polsce komunizm, to konfidenci. Były na nich wyroki sądu polowego KWP. Tam byli prawnicy. Żeby skazać potrzebne były świadectwa trzech, czterech ludzi. Na komunistów wystarczyło chyba trzech, co by potwierdziło, że ktoś donosi do UB. Potem wyrok szedł w teren. Mój oddział był właśnie egzekucyjny.

W akcjach nie uczestniczyłem. Tam zapatrywałem ich w amunicję. Zaczęło się to stąd, że znałem gościa, który od okupacji niemieckiej miał kilka tysięcy sztuk. Myśmy to przesmyczyli do ~~lasu~~ <sup>lasu</sup>.

Jakoś łącznik nawiązałem kontakty z oddziałami "Gryfa" z WiN-u /nieśliśmy z nim bardzo dobrą współpracę/ i z NSZ-em. Później miałem być bezpośrednim łącznikiem do "Warszyca".

W zorganizowałem nawet kontakt "Klingi" z Moczarem, kiedy był komendantem bezpieczeństwa w Łodzi. Zнали się z czasów okupacji.

Moczar dawał znaki, że chce nam pomóc, nawet w amunicji. Ale zamiast sam przyjechać, przysłał dwóch na przespiegi. "Klinga" zaraz się zorientował i przepędził ich.

Byłem w oddziale, ale pokazywałem się czasami w domu, bo nie byłem spalony. Jakby mnie złapali w lesie, miałem nieraz i dziesięć asygnat, że wykupiłem drzewo. Gajowi mi wypisywali. Mogłem spokojnie prowadzić rozpoznanie. Raz wyszedłem, że wojsko okopuje się z działkami. Ostrzegłem naszych i wyszli, a tani zaraz zaczęli bić z tych dział, ale już na opuszczone pozycje.

W oddziale "Klingi" byli żołnierze z AK, dwóch z BCh i tacy, co uciekli przed poborem. Wszyscy składali przysięgę. W ogóle dowódca pilnował regulaminu i dyscypliny.

Rano i wieczorem padała komenda: "Do modlitwy!" i wszyscy na baczność śpiewali:

"O, Boże, który jesteś w niebie,  
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń.  
Ze wszystkich stron błagamy Ciebie  
O polskie orły, polską broń..."

Chłopci wtedy wychodzili z chałup i przykładali ucho do ziemi, żeby słyszeć. I płakali. Zwracałem uwagę kapitanowi "Klinga", że to niebezpieczne, bo modlitwę słychać na polach. Ale on chciał, żeby ludzie wiedzieli, że jesteśmy, że się nie daliśmy, a partyzanci, żeby nie byli jak zaszcute zwierzęta.

Miejsce na obóz musiało zawsze być blisko wody i trudno dostępne. Obstawialiśmy cały teren posterunkami. Rozbijaliśmy namioty, albo budowaliśmy ziemianki otoczone rowkami, żeby woda nie podchodziła.

Partyzanci byli porządnie ubrani. Niektórzy mieli przedwojenne mundury. Wszyscy nosili na czapce orka z koroną.

W obozie pięknie było. Mieliliśmy wymurowany piec z blachą. I był chleb - okopcony, bo okopcony, ale się najedli.

Gotowaliśmy wielkie gary zupy. Kawał świni do kotła i była grochówka. Wszystko to robiliśmy nocą. Ale byli tacy konfidenci, co raniutko wchodzili na dachy, kiedy jeszcze nad lasem rozciągał się dym z naszej kuchni i tak próbowali oznaczyć miejsce obozu.

Naszym żołnierzom nie wolno było chodzić do wsi rodzinnych, chyba, że już trzeba było: rodziców pożegnać, albo coś pilnie zakatwić. Wtedy tylko z obstawą.

W lesie "Klinga" urządził świeczka. Chłopcy musieli umieć skakać z drzewa na drzewo. Najlepiej szło na brzozech, bo brzoźka się najmocniej kłania. Trzeba było iść górą wśród gałęzi z automatem i tak, żeby wróg nie zauważył.

Czekaliśmy na zrzuty, które miały być w czerwcu. Nie mieliśmy z czego żyć, <sup>ale</sup> na szczęście ludzie byli opodatkowani na nas. Nie wiem po ile, ale byli. Mimo to trzeba było konfiskować. Wtedy zostawialiśmy kwit z pieczęcią - czterolistna koniczynka i napis: "Walka z bezprawiem". Kiedy zatrzymaliśmy pociąg z mięsem i cukrem i wzięliśmy cały wóz, kierownik pociągu też dostał pokwitowanie. A jak była bieda, to zabierało się i rolnikowi. Bogatszemu. Jak miał pięć świń, to się konfiskowało jedną.

Ludzie nam pomagali, ale byli tacy, co mówili: "-Nie wygracie". Odpowiadaliśmy: "-Jak nie wygramy, to będziecie pacierz za nas mówić."

Kiedys oddział był w wielkim niebezpieczeństwie. Był otoczony. Uchowcy szli w las jak lwy. <sup>nie tak jak Niemcy, co bali się lasu.</sup> Wtedy do "Klingi" przyszedł porucznik KBW i powiedział: "-Tu tnij, bo tu słabo." I udało się wyjść z okrążenia, ale ten biedak dostał za to dożywocie. Nie był żadną naszą wtyczką, po prostu się obudził.

Latem 46 roku oddział "Klingi" został rozбит, dowódca wpadł w łapy UB. Porucznik Stanisław Lisiecki /"Jaguar"/ otrzymał wtedy rozkaz, żeby zebrać rozproszonych żołnierzy, ukrytych w lesie i

na kwaterach, a potem połączyć się z oddziałem "Babinicza", działającym koło Wielunia w sile przeszło czterystu ludzi. On miał kontakt z łącznikami, którzy zabierali ludzi za granicę. Nas też mieli przerzucić.

"Jaguar" zebrał nas tylko siedmiu. Reszta się poulatniała, gdzie kto mógł, na łowe papiery. Byliśmy na kwaterze w Borze Zapilskim, ukryci w sieniaku u gospodarza Jacentego Płazy. 26 sierpnia mieliśmy się przedzierać. Przyszła noc. Iak taki deszcz, że wyszliśmy i wróciliśmy. Prawie nie mieliśmy amunicji. Nagle zaczęła się obława. Cała wieś była otoczona przez wojsko i UB. Obstawili nawet lasy.

Zaczęła się walka. Koledzy ginęli jeden po drugim. Ja byłem ranny w głowę. Odrzuciłem od siebie pistolet i czapkę. Lisicki mówi: "-Chowaj się, gdzie możesz, a nie, to się już struj." A ja: "-Nie mam trucizny". <sup>500p w rękę z "Cholewa"</sup> ~~Wziął~~ się ~~do~~ w taką dziurę, o której <sup>o ile</sup> wiedzieliśmy tylko <sup>ja</sup> i gospodarz.

Ale ten, co nas zaszcpielował, <sup>podał</sup> ~~na~~ im dokładnie ilu nas jest. Słyszę: "-Pięciu już leży, a dwóch jeszcze gdzieś jest." Chcieli podpalić zabudowania, ale ich komendant rozkazał: "-Od dechy do dechy strzelać". I zaczęli puścić z pepesz po sieniaku. <sup>jednego "Cholewa" dostał rany kryjace: "Jus, maie"</sup> ~~Lisicki dostał, katał krasocę:~~ "-Jarus, ~~marat~~".

Ja chyba też, bo drugi raz mnie trafili. Komendant woła: "-Jest żyje. Nie strzelać!". <sup>Nyugognęli nas z dziury - ale "Cholewa" już nie żył.</sup> ~~Wycopali.~~ Zobaczyłem, że oni mają tylko jednego zabitego.

Leżałem na ziemi. Podszedł jeden i dosłownie rozdeptał mnie. Złamał mi obojczyk. Potem razem z tymi martwymi ciałkami wieźli mnie przez Bór Zapilski. W miejscu gdzie jest szosa do Herbów Nowych, zatrzymali się. Tam są takie góry, doły. Chyba w tym miejscu pochowali zabitych. Podleciał tam do mnie jeden z tych bezpieków jak wściekły pies. Pyta: "-Gdzie ten "Tygrys"?" "-A tutaj leży." Miał parabellum, chciał mnie dobić. Mówił: "-I w te doły go". Ale ten, co przy mnie stał, nie pozwolił: "-Mamy nitkę, dojdziemy do kłębka. Jego nie wolno zabić."

Przewieźli mnie do Częstochowy, do bezpieki na Śląską 8. Przez sześć dni i nocy trwało śledztwo. Wszystko było skrwawione. Z mojej głowy i z ran na ciele. Jak oni mnie tłukli! Prętami żelaznymi. Nogi mi pogruchotali. Chodzić nie mogłem. Nesili mnie ci, co siedzieli za współpracę z Niemcami. Ubowcy pijani byli, a jak mnie przesłuchiwali, to jeden z nich, taki smyk grał na pianinie. Przyjeżdżała tam taka baba, porucznik UB z Kibic. Miała ośmiokantowy okówek i biła po jądrach.

Po tym śledztwie już nie mówkiem, konezykiem się. Wtedy przynieśli mnie do szpitala na Zawodziu. Tam pracowała doktor Becker, dobry chirurg. Operowała mnie. Powiedziała, że jeśli nie są ruszone opony mózgowe, to będę żył. Sześciu z popesami mnie pilnowało. W dziesięć minut po operacji, całego zabandażowanego wzięli mnie do więzienia. Doktor Becker uklękła, błagała: "Ja litość Bożą, ten okówek miał szczęście, że przetył. Nie wolno go zabierać." Nie to nie pomogło. Zabrali mnie do więzienia i tam rzucili na podłogę. Zaplombowali drzwi. Nie wolno było nikomu wejść, nawet podać mi wody. Służbie więziennej powiedzieli, że jestem Szwab, że za współpracę z Niemcami.

Leżąc tam dostałem ataku padaczki. Zerwałem opatrunki, zalałem się krwią. Więźniowie z sąsiedniej celi /byli tam partyzanci, ale przeważnie pospolicci/ zaczęli walić w drzwi.

Zrobił się szum. Dowiedział się wtedy o mnie główny lekarz tego więzienia, Żyd ze Lwowa, nazwiska nie pamiętam, bardzo dobry, do wszystkich mówił: "-Ty wariacie". On zmusił naczelnika więzienia, Bławata, żeby otworzył celę. Wziął mnie na izbę chorych. Chciał dać zastrzyki, ale ich nie miał. Wtedy pomógł mi jeden eneszetowiec Zdzichu Szmausztą. Oddawaliśmy bieliznę do prania do domu i on w rękawie mojej koszuli wypisał nazwę tego lekarstwa. Zona odebrała, przeczytała i poszła do lasu. Tam od chłopaków dostała pieniądze i wykupiła. Dostałem te zastrzyki, ale lekarz, ten Żyd siedział za te 48 godzin w okropnym karcu.

Ktoś przerzucił mi z wolności truciznę, jakbym czuł, że za dużo powiem. Ale obeszło się bez tego.

Jak doszedłem do siebie, ~~człon~~ <sup>człon</sup>ów zaczęli śledztwo. Prokurator mówił mi: "Tęgo waszego "Warszyca" to za ch... powiesz, a was jak psy wystrzelają. Takie jest rozporządzenia, ale ciebie możemy uratować, ty jesteś pochodzenia chłopsko-robotniczego, to my się wykształcimy, my wszystko ci damy. Tylko z tej listy wybierz nazwiska." Powiedziałem: "-Nigdy". Wtedy kopnął mnie i wrzasnął: "-Zabierajcie go!"

W 1947 roku dołączyli mnie do procesu "Małego" z KWP. Sąd Wojskowy z siedzibą w Kielcach na sesji wyjazdowej w Częstochowie. Było nas 35 oskarżonych. Broniłem się, że przypadkowo się znalazłem tam, że nie byłem w partyzantce. Było niebezpiecznie, bo zaczęła sypać łączniczka, która mnie znała, ale udało mi się wykręcić i jeszcze ją wybronić. Tak to wszystko przeżyła, że zemdląca na sali.

Oskarżał prokurator pułkownik Goleczewski. Mówili, że był Żydem i prawdziwe jego nazwisko - Goldstein. Co za różnica? Przecież jeśli nawet Żyd, to polski Żyd. Ale chyba sprawa żydowska uratowała mi życie, bo adwokat udowodnił, że za Nipców z narażeniem życia dawałem chleb żydowskim dzieciom.

Objęła mnie amnestia, a mimo to częstochowskie UB nie chciało mnie wypuścić. Wreszcie po interwencji żony u prokuratora wyszedłem na wolność. Od tej pory musiałem <sup>518</sup> trzy razy w tygodniu meldować. Nie miałem z czego żyć, a tu żona i dwoje dzieci. Pracowałem jako stróż w ~~zakładzie~~ <sup>w swojej wsi.</sup> UB wysłedziło i kazało mnie wyrzucić.

Po wyjściu na wolność należałem do organizacji Ośrodek Więźniów Politycznych. Wstąpiłem do niej jeszcze w więzieniu. Ale nie wiem czy już mogę o niej mówić, muszę się poprosić kolegów.

Drugi raz aresztowali mnie w 1948 roku. Zarzucili mi takie rzeczy, o jakich mi się nie śniło. Byłem tak udręczony śledztwem że podpisałbym protokół z tymi wymyskami. Podchodzę, biorę już

za pióro, a sędzie śledczy odsuwa kartkę. Żebym wyszedł czysty. Podpisał ubek.

Sąd wojskowy. Rozprawa trwała półtorej godziny przy drzwiach zamkniętych. Nawet żony nie wpuścili. I wyroki raz-dwa: dożywocie, dożywocie, piętnaście, dziesięć. Ja dostałem piętnaście.

Siedziałem do 1956. Najpierw w Rawiczu, potem w Strzelcach Opolskich. Tam na przejściówce ktoś zaczął mówić o Katyniu, a ja wiedziałem co i jak, jeszcze z czasów okupacji. Powiedziałem, że to NKWD zrobiło. Za to rok siedziałem w pojedynkę. Codziennie meldowałem: "-Więzień karny Grucza Józef melduje celę 524. Stan: jeden. Obecny: jeden." A jak nieraz zły byłem, to nie meldowałem. Pytali mnie: "-Gdzie jesteś? Czemu nie meldujesz?". Mówiłem: "-W lesie jestem." Za to mi jeść nie dawali.

Panie, ja już nie mogę o tych gadach mówić, bo się za bardzo denerwuję. Ja chciałem tylko panu zaśpiewać tamtą modlitwę:

"O, Boże, który jesteś w niebie". Dobrze, zaśpiewam i inną piosenkę z lasu:

Gdy kwiat polskiej młodzieży porwał się do boju,  
Akowcy się w lasach trzymali,  
To wyście najlepszych ojczyzny żołnierzy  
Zdrajcami narodu nazwali.

O, cześć wam, szubrawcy z Lublina  
Za naszą stolicę zburzoną.  
O, cześć wam za rządy batiuchy Stalina,  
Za orka koronę skradzioną.

Gdy pan Anders we Włoszech z Szwabami wojował,  
Bór musiał iść w szwabską niewolę,  
To Bierut Stalina po dupie całował,  
By rząd <sup>z</sup>dał pod jego kontrolę.

O, cześć wam, Bieruty, Zymierscy,  
Zymierscy i inne Gomulki,



Co razem z Kacpem szyli Polsce buty,  
Zginiecie z komuną do spółki."

Kwiecień 1990

Spisał Piotr Mitzner

